

Krzysztof Kamil Baczyński

"SERCE JAK OBŁOK"

Osoby:

1. Tytan- Krzysztof
2. Narratorka - Matka
3. Światłokłuna - Barbara
4. Colombina
5. Arlekin

KRZYSZTOF

A otóż i macie wszystko, byłem jak lipy szelest,
Na imię mi było Krzysztof, i jeszcze ciało - to tak
Niewiele.

I po kolana brodząc w blasku
Ja miałem jakświęty przenosić Pana
Przez rzekę, zwierząt, ludzi, piasku,
W ziemi brnąć po kolana.
Po co imię takie dzicinie?
Po co matko, taki skrzydeł pokrój?
Taka walka ojcze, po co -takiej winie?
Od łez ziemi krwawo mi, mokro.
Ojcze, broń dźwigam pod kurtką,
Po nocach ciemno - walczę, wiary wędną.
Ojcze - jak tobie - prócz wolności może i dzieło,
Może i wszystko jedno.

Dzień czy noc - matko, ojcze - jeszcze ustoję
W trzaskawicach palb, ja żołnierz, poeta, czasu kurz.
Pójdę dalej - to od was mam: śmierci się nie boję,
Dalej niosąc naręcza pragnień jak spalonych róż.

NARRATOR W takich nocach się lęgną same mary tylko
I skrzydła naważnie.
Takie noce się karmi przez wiatr oderwaną ręką.
Takie noce dymią padliną - gnijącym runem obłoków.
Błądzący po nich giną w lęku i mróku.
Takie noce rodzą tylko zwierzęta:
Konie bez głów i koty ziejące płomieniem.
Jakże te noce przmógł, które rosną jak trupi obrzęk
I jak ryby duszą się niemo?
Jakże w nich zrodził się olbrzym?

A miał Tytan ramion dwoje - gałęzi,
Jak mosiądz, co się w słońcu wygina,
I oczy, jakby w nich niebo uwięził
Albo jakby mu błękit spojrzeniem przez głowę na wylot
Płynął.

A nad głową koronkę włosów
Do ptaków podobną, koloru róży czy rtęci,
Spadającą na wysmukły pomnik twarzy,
Kiedy w drogach złocistych bródził,
W płomieniach płynącym zachodzie
I tętniące cyklony marzył.

Kiedy świt jak owoc mleka dojrzewał,
W kolorowych szybkach jaskiń,
Ruszał Tytan przez dzwoniące jaskry,
Jak przez gwiazdy wdeptane w trawę,
I melodie echem śpiewał, a przed sobą pędził jak korabie
Zamyślane, koczące jak owce w czarnym srebrze
Wykute lodowce.

A sód szóp się sypały lawiny jak odłamki kroków
Wędrujących przez pustynie planet innych,
Przez kotliny zatopione słońcem,
Poprzez ziemię jak wielką przyczynę
Zgasłych studni i źródeł bijących.
Parły trąby miedziane wichury w kolorowy codzienny zachód,
Pędział Tytan bezimienne góry nad koralowy wodopój,
Gdzie jak senne zwierzęta - łapą
Przecierały znużone oczy.
Zanurzyły pyski w spokój - w aksamitne fale nocy.

Czegóż więcej potrzeba. gdy głos twój
Budził gór żelazny obryw?
Czegóż więcej trzeba oczom modrym,
Że tak w smutek patrzyły prosto,
Że aż śmiercią lodowatą wiało od nich?

Nosił Tytan w piersiach mocnych
Wyrojone w groźną noc narodzin
Smutne serce wykarmione na wyjących wichtów głodzie,
Smutne serce wybujające na lamentach ptaków nocnych,
Na modlitwach psów - rzucanych w tarczę snów

/okrągłą -

- dziwne serce - zamiast serca - obłok.

TYTAN Serce jak ptak biały, z drzew białych
Nie oderwany ptak . jak owoc niedojrzały,
Jak nieznaną potęgę,
Które w kolebach ziemi kołysały trwogę i miłość,
Nim w ciało stężały, nim się nie stały młotem.

A teraz młot, a nad nim cóż, gdy bije o ziemię lodowate,
O serca niczyje , cóż nad nim?

Serce - ptak biały z drzew nieoderwany, karmiony krwią
Z Chrystusa pięciorany, wszędzie czy spadnie?
Serce - ptak biały - nocą lot rozwija jak wstęgę
Albo skrzydła jak kolumny wbija w ciemność czy światło?

A kiedy ptakom - ptakiem, ludziom, - wiosłem,
Sobie jest tylko śpiewem niedorośle, to już pdgadło,
- Dziwne serce - zamiast serca - obłok.

NARRATOR Dojrzewały w sadach śliwy, śliwy złociste, jakby
Kto krople słońca w powietrzu ostudził nagle jak wosk,
Tańczyły siostry kołem, od tej wesołej jazdy
Migało pod powiekami, drażniło nozdrze jak kłos.

Dudniły warkocze tak lśniące, że prawie w słońcu buzię,
Jak ulew jasne sploty rzucane z nieba ukosem.
Dudniły deszcze owoców poprzez rozwiane włosy,
Żeś już nie wiedział napewno,
Czy włosy czy śliwy dojrzały.

Tańczyły siostry kołem, a Tytan przystanął:
Od żaru oczy ręką ogarniał, jak od lśniącego bąka.

TYTAN "Weźcie mnie siostry, bądźmy po kolorowych łąkach
Tańczyć pośród jesieni zielonożółtych pożarów".

NARRATOR Śmiały się siostry, śpiewały głosami, jak zielonymi
Wilg owocami:

ALTY Jakże będziesz tańczył z nami pod jesieni namiotami,
Kiedy ręce masz jak stal i mosiądz?
Strącisz z gór sokoły lawin,
Huk lodowców słońce zdławi, kiedy pieśń zaśpiewasz
Mocnym głosem.
Jakże bratem naszym jesteś, kiedy my jak płomień lekkie,
Który biegnie po płynącej słonce, a ty wiatrem
Noc zalewasz, pęć piorunami płomień w drzewach,
Rozdmuchujesz w kolorowy zachód słońce?
Jakże mamy tańczyć z tobą, kiedy zamiast serca obłok
W piersi burzą wypełnionej nosisz?

NARRATOR I wesoło się siostry śmiały,
W świergot ptaków coraz bardziej zanikały,
Aż pozostał po nich lot pajęczym
Rozwieszony w powietrzu dźwięcznym.
Został Tytan sam na brzegu żalu
Jak na brzegu najsmutniejszej wyspy,
Gdzie na drzewach nawet ptaki wszystkie
Są z zimnego złocistego metalu.

TYTAN O mój ty smutku sichey, smutku gwiazdek maleńkich,
Nazywałem, szukałem, brałem ciebie do ręki.

Jak to się ciało twarde tak w piasek albi w glinę
Zamienia w moich dłoniach, pragnienie każde - w winę.
Jak to się kiedy dotną kwiat przeobraża w ciemność,
I poszum drzewa w głuchotę, a chmuły w grzmot nade mną.

Jak to ja nieobaczny mijam sam siebie błahy,
I rzeźbę zanim zacznę marmur wypełniam strachem.

Oto słyszę jak w popiół przemieniam się i kriszę,
I coraz mniejszy ciałem, wierzę we własną duszę.

NARRATOR Kapali się chłopcy w rzekach,
Których prąd podobny dłoniom żyłastym,
Gdzie czekała ich polana niedaleka
I mijały ich wysnione obce miasta,
Napełnione kopułami z kolorowych szkiełek,
Które w słońcu się wzdymały i gięły.
I widzieli w lasach ciemnych i wilgotnych
Wirujące tęcze z purpurowych kamieni.
Wśród zielonych kołyszek cieni migotały im dziewcząt loki.
Ale jakże je było uchwycić, kiedy były z snów
przejrzystych nici?

TYTAN Rzeka pachnie jak ryba, ryba jest liściem deszczu
Oderwanym od bieżącej gałęzi szelestu:

Od zbuntowanych okrętów chmur -

A wyginane rybitwy złożone do wiotkiej modlitwy
Ciągną niebem błyszczący jak brzeszczot,
Omotujący jasno sznur.

Rzeka się w niebie odbija czy niebo rzekę wymija
Tocząc kuliste chmury na drugi brzeg?

Stanął Tytan nad rzeką i zawołał,
Aż się kręgi kręciły po wierzchu,
Jakbyś kamień w wodę rzucił, coraz dalsze koła:

TYTAN "Chodźcie chłopcy, popłyniemy o zmierzchu
I zamkniemy w rąk brązowych kieszeniach
Kraj błękitny, gdzie gwiazda mieszka".
Ale śmieli się chłopcy białemi - jak orzechy wyłuskane -
zębami:

BASY "Jakże płynąć chcesz, Tytanie z nami, do tych bujnych
jak burze ziemi, kiedy my szukamy w nich dziewcząt,
Jedwabnego jeziora pieśczoł,
Kiedy chcemy wydrzeć drogie kamienie
Tęczom barwnym i zazdrośnym ziemiom?
A ty nie masz soczystego serca,
W którym dudni krew chciwa klejnotów.
Czy w lodowcach swych ukryjesz złoto?
Czy w cyklonach swych poszukasz im miejsca?".

NARRATOR I płynęli, przepływali obok:

BASY "Przecież ty masz zamist serca - obłok".

NARRATOR Poszedł Tytan od chłopców wesołych
Wielkie stopy ostrożnie stawiając wśród drzew.
Jeszcze za nim pogłos rzeczny wołał i płynących
Daleki śpiew.

ŚWIATŁOŁUNA

Ona stojąc w jeziorze ręca obraca do góry
I z nich unoszą się z wolna kwiaty i białe motyle,
Kiedy pod kolanami w wodzie mkną ciche chmury,
Niebó się szybko przetacza. Ona się fali przychyła
I bierze w dłoń otwartą jak w pyszczek różowy kuny
Niebieskie łodyżki wody, które się prężą jak struny
I grają cicho i miękko:

"W kwiaty nas zamień panienko".

Więc ręce zwraca w górę i krople wytryska wysoko,
Czyni z nich liście i jabłka, węże i srebrne jaszczury:
Zanim opadną znowu, jeszcze podobne są głogom,
Co kwitną. Potem gdy spadną, przemkną w nich szybko
Chmury. Ona z wolna zwróci unosząc z sobą odbicie,
Nie wiedząc jeszcze, czy w sobie czy w wodnym obrazie
Prawdziwa,
Patrzy w kryształ powietrza i widzi dalekie życie,
Raz zapylone trakty to znów potoków grzywę
Nie wie i jeszcze czeka. Wtedy na brzegu w kotlinie,
Rycerz ogromny przystaje i jabłko wyciąga na dłoni
Błękitne jak kropla nieba.

NARRATOR

Czeska Światłołuna włosy ciemne

Przed zwierciadłem strzaskany w potoku,

Zanurzała wąskie ręce głęboko,

Ku swym oczom zielonym tajemnic, które w owdzie

Się tliły i gasły jakby z mroku utkane a jasne.

Zeszły sarny do strumienia, wodę tuląc miękko

Do wilgotnych twarzątek.

Przybliżyły kosmaty policzki, do jej dłoni

Błękitnych od chłodu i wznosiły nozdrza

Mokre i czarne, jakby w piersiach jej przeczuły sarnę.

Widział Tytan Światłołunę i pokochał,

Rzucił stada gór lodowych i gromów

I co rano przed płynącym lasu domem

Dzwoił pieśni na wydętych wiatru konchach,

Aż z przestrzeni taki żal wywabił,

Że na liściach osiadło łzami.

Tylko z dali ryczały porzucone lodowce
Przystanąwszy w zaskuchane stada i skręcone orkany
Jak owce pobekując zawisły w powietrzu,
Nawet ostre pociiski deszczu zwisły z nieba stanęły
Nad ziemią, w kręgi pieśni zaskuchane niemo.

Tytan grając śpiew smutny w ciszę długo snuł
Jakby ciemną nicią żalu rozciął w pół:

TYTAN

Szybują bąki wiecznych burz, chmurami w dół,
Chmurami w głąb.

Spadają deszcze szklanych róż pośród mosiężnych
Wiatru trąb.

Widziałem w twoich oczach las wiodący sarnim rytmem
W świat: gdzie zamysłone ryby gwiazd nad nawalnicą lat.
Uchron mnie lotem swoich rąk, jak białych ptaków snu
od wędrujących za mną żak, od wędrujących gór
Szybują burze, w burzy drży mój własny groźny krok
O schroń mnie w namiot swoich snów przed stałą moich rąk".

NARRATOR

Wyszła wtedy Światłoluna na brzeg światła
Pół się śmiejąc pół po wietrze ręką wodząc,
Jak po grzbiecie zbudzonego pieśnią bawoła,
I uniosła smutne oczy jak lecących chmur zwierciadła,
Jak jaskółki zabłąkane późną nocą w wirujących planet
kołach.

Pół się śmiejąc, pół śpiewając zawołała-
Jak strumień ciepłym altem w niebo łaża:

ŚWIATŁOLUNA

"Jakże ty mnie chcesz Tytanie, kochać,
Zadumaną w moich białych potokach?
Jakże chcesz mnie w mocne dłonie uchwycić,
Kiedy nie wiesz czy to ja, czy moje odbicie?
Bo ja jestem na w pół prawdą, na w pół ciszą,
Jakby liście co w powietrzuzanim spadną widzą,
Boję się twoich gór tętętu, twoich wichrów
Jak pędzące zwierzęta.

Kiedy rykną twe lodowce lawiną, moje oczy znizną w liściach
I kwiaty się rozplyną, za wysoka będzie miłość z tobą
Kiedy ty masz - zamiast serce - obłok.

TYTAN

Nie bój się nocy ona zamyka drzewa lecące
I ptasie tony, w niedostrzegalnych mrocznych muzykach,
W przestrzeni kute - złote demony, które fosforem sypiąc
Wśród blasku, wznoszą się białe, modre różowe
Wznoszą się w lejach żółtego piasku,
W chmurach rzeźbione unoszą głowy. Nie bój się nocy.
Jej puchu ostrzegają krople kosmosu, tabuny zwierząt:
Czy w nią otwórz, wtedy pod dłońią uczujesz ptaki
I ciche konie, zrozumiesz kształty, które nieznane
przez ciebie idąc się stają.
Nie bój się nocy to ja ją wiode, ten strumień żywy
Przeobrażenia, duchy świecące, zwierząt pochody,
Które zaklinam kształtów imieniem.
Ułóż wezbrane wody w kołysce, ciało na skrzydłach
Jasných demonów, wtedy połyniesz we mnie
Jak listek opadły w ciepły tygrysi pomruk.

NARRATOR

Za wysoko było podjąć płacz ztej nuty,
Gdzie go piersi wyrzuciły ponad przestrzeń.
Gdzie go taki lodowaty wylał smutek,
Aż zamarzyły gieruchomo wszystkie ptaki na wietrze.

Tylko z powłok Tytanowi łabędź spłynął zamiast łzy
I w chmurach zaginął.

Dądnęły rzeki po zboczach. Pełzały złotym płomieniem
Ogniska ludzi w dolinach, kiedy się do snu kładli
Nic nie widzący powyżej, niż biegły z ognisk cienie,
Nie szukający ponad to co już od dawna odgadli.
Ryczały krowy mleczne i rogi nurzały w senność,
A ptaki spały mocno jak wyrzeźbione w gałęziach.
Piersi zwierzęce i ludzkie wznosiły, zniżały ciężar
Ogromnej kuli nocy którą zamknęła ciemność.
Wtedy z pieczar głos się piętrzył i tak urósł,
Jakby nie był lotem ptasim, ale czarną górą.

Wołała Tytan w puste studnie nocy
Aż mu oczy wypalone troską zgasły
I od głosu ziemia stała w gromach jasnych,
Złote kule na doliny tocząc.
A lawiny lały się, jak srebrne rzeki, jakby starte
Kłosem czasu wieki.
Właśnie świt nad nocą przysiadł: jakby ~~pe~~ ptak
Skrzydeł mlecznym gwiazdy w wolna ścierał,
Kiedy drogą bladą jak we snach matka szła o twarzy
Wyrzeźbionej w smugi smutku jakby się nią przelał
Czarny płomień zaklęty we łzach.
A łzy były za Tytanem tęsknione i nie gorzkie już,
A tylko czerwone.

TYTAN

Matko, nie ma już dni które nas rozdziela,
Choć upiór dnia stoi w oknie i czeka,
Nie doścignie nas nikt na drodze dalszej do śmierci,
Nie odnajdzie nas nikt, bo droga nasza za daleka.

NARRATOR NARRATOR

Wtedy w piersi Tytana obłok tak się wdzięcznie
W białą chmurę skłębił, że po halach posypał się
Pogłos cekinami mieniących gołębi.
W ramionach matki zamilkły jego oczy jak zamarżnięte wilki.
Tylko skrzydła jej srebrnych włosów długo wiały
Na porannym wietrze i sypały się w błękitną przestrzeń,
Zastygając w konstelacje i znaki,
Nie wiadomo czy łzy czy ptaki.

KRZYSZTOF

Ukochane moje! Kolejka EDK ma nastrój bardzo swojski. Gdy tylko to pudełko na szynach ruszyło, jakieś dwa indywidua zaatakowały trzecie, palące papierosa. Wagon był dla niepalących. Po czym wraz z konduktorem darli się przez 20 minut ku ogólnej ucieście i przy ogólnych uwagach na temat karności wogólr, w szczególności w Polsce. Potem podróżowaliśmy w spokoju aż do chwili, kiedy ja zapaliłem i miałem okazję do wyładowania swojej prymitywnej złośliwości na jednym z poprzednio wymienionych indywiduów. Podkowa Leśnia przywitała mnie słońcem no i nierzybytymi bajorami. Kiedy dopłynąłem do stawiska - buty zdały dobrze swój egzamin - poszedłem do pana Jarosława Iwaszkiewicza na pogaduszki. Potem, o wpół do drugiej był obiad. Przy stole zasiada pan Jarosław z żoną, 2 córeczki i 2 ciocie czyjej strony i w jakim stopniu pokrewieństwa - nie wiem, no i Kołoniecki. Obiad dobry, domowy, z czarną kawą. Po tem zasiadłem sobie przy piecu w hollu i rozmawiałem ze staruszką ciocią oraz moim współlokatorem, że teraz nie wogóle, że na stawiska też, że nie zawsze, ale jednak itd. wieczorem pan Jarosław przeczytał nam swoje ostatnie opowiadanie włoskie bardzo ciekawe i bardzo dobrze napisane. Byłoby także dobrze przeczytane, gdyby nie złośliwa lampa karbidowa polująca na życie lektora i słuchaczy. Położyłem się spać i spałem bez ataku aż do 8.30. Trochę mi tam zda się się śpiewało jeszcze, ale nie dusiło zupełnie. Rano umyłem się w ciepłej wodzie płynącej z kranu, a teraz po śniadanie zasiadłem do tego biuletynu. Martwię się o was i mam wyrzuty sumienia, że^m nie jest tak, a wam tak.

Wasz Krzysztof.

Czwartek wieczór. Wielki wiosenny wiatr duje jak nieszczęście. i pięć stopni celzjusza plus. Czytam sobie Maritena którego tu znalazłem, albo tak się pogapuję ino i zaczynam tęsknić, podczas kiedy kot perski chodzi dookoła jak poduszka hadętego pierza i miaucząc tęskni, ale trochę inaczej. Nie wiem co się u was dzieje i to już jest niepokojące mimo tego idealnego trybu dnia i całkowitego bezsiłku i wygody. Jest to po pristu zdumiewające, że można się nudzić. Mam takie chwile. Czy wyobrażacie sobie, co to znaczy

nudzić się? Zupełnie zdaje się zapomnieliśmy sensu tego słowa. I aż dziwne, że takim spokojem tak się człowiek prędko nasyca. Czy już nigdy niczym, niczym innym nie można zostać, niż siarką i płomieniem, który kwęka na nieustanne spalanie, ale nie umie bez niego istnieć.

Mamuśko kochana. Nie wiem zupełnie jak jest z twoim zdrowiem. Z uchem i z sercem. Napisz mi to jak najprędzej, bo przemilczasz to niepokojąco. Napisałem dwa wiersze. Jeden bodajże już znasz, bo ci chyba czytałem w zeszłym tygodniu, chyba już wtedy był napisany, tak, tak, napisałem go przy tobie, a następnego dnia drugi, który ci przesyłam. Co robisz, napisz mi coś więcej o sobie, całuję cię mocno. Krzych.

Chmura z miedzi uderza
Blaskiem bije w puklerzach,
Jeśli puklerz - to oczy z ołowiu.
W lasach siwych od blasków
Jak znużenia kołyszą
Wracał rycerz z pustystych łowów.
A od śniegu - wraz z koniem -
Był jak chmura jabłoni
Huraganem niesiona przez zamieć.
I tak w pędzie zastygli
Że na mróz jak na igłę,
Wbici z wolna zmieniali się w kamień.
Wtedy knieje srebrzyste
Promień przeciął ze świstem
Droga przeszła w niebieską równinę.
Złote chleby i ręce
Jak w dzieciństwa piosence
Niosła matka na witanie z synem.
Złote kosy ó oczy
Co jak senność złej nocy
Na gościniec wyniosła dziewczyna.
Ale on jak po ścieżce w pół po drodze, pół w wietrze
Biały posąg potężnik i zginął.
Aż jak głaz w biegu wisiał
I ptak mu szary przysiadł
Na przegubie lodowatej ręki.
I pradawnych snów trzepot
W sercu zatlił mu ślepo -
Szary płomyk smutnej piosenki.
W pył rozsypał się szklany
Rycerz buchnął tumanem
W popiół zmienił się z koniem i z cieniem.
Tylko niebo zczerniało daleko w grozie sypało
Gwiazdom ciemność a ludziom kamienie.

KRZYSZTOF Sny dziecięce pachniały wanilią.
Jak oderwać to życie od trwogi?
Te dni jak małe bożki w oliwkowym lesie -
Wyrosły z nich dorosłe wilki i ogień
Opalił sosny strzelistych uniesieją.
Takie to dzieje matko. Boli wiatru kolec
Wbity w dwudziestą jesień kiedy uniem
już najtrudniejsze słowa. Matko
Jeszcze jednym uśmiechem sprzed lat dwudziestu
Przywróć mi wzrok dla świata dziecięcy.

MATKA Synu, oczy kłamią a zresztą nosi każdy jakieś
Rany znamion, które czasem boją.
Gdy je przysypię, zmierzchem albo solą
Taką solą spojrzenia, którą każdy młody
Ma kiedy patrzy w starość, jakby mówiąc: "odejdz".

KRZYSZTOF Ach, wiem o doświadczeniu, chociaż to tak stare,
Pewno, każdy chce życie, czy życia oparem
Upić się i sam błądzić, i tak krzywdy szuka
Jak nieszczęścia, i dopiero wtedy na kształt ktuka
Mądrego siada i innym powiada,
Że się to tak a tak w życiu układa.
I sam wie dobrze, że tamci słuchając
Już z życiem po cichutku w kości coraz grają,
I oni dobrze wiedzą, że on im nie kłamie
Ale idą na nowo i na nowo sami.
Ale to nie to, i ty mi nie o tym mówiłaś,
Ja chcę wiedzieć, co to złotem, czy ogniem tak spłonęło.

MATKA Ja, co ja widziałam.
To różne od wszystkiego, od świata i ciała,
Coś jak nad pokoleniem zawieszona łuna,
I coś jak znak przecucia w burzy i piorunach,
I wiem, że cierpień trzeba będzie, ale na to
Matka świata jest daną by była zapłatą
Za doświadczenie syna i by własnym bólem
Kuła zdrowemu miecze, a choremu kule,

By za każdy krok jego, od kolebki łzami pławiła,
A łza każda zamienia się w kamień,
Ale to się kochaniem zwie, albi sumieniem,
Czasami przywiązaniem, tak ~~eee~~ rzadko cierpieniem.
Do widzenia, a nie patrz długo w park i okna zamknij,
Bo już jesień...

KRZYSZTOF Cóż jesień? Jesień, pora śpiewu.

MATKA Lub jesień pora gniewu. /śpiew/

KRZYSZTOF Więc jednak jesień to pora śpiewu? Nie gniewu?

PIOTR Witaj, coż to Szopen?
Dziwny śpiewak, ja gdybym był chłopem,
Nie rozróżnił bym w tej pieśni swojej,
Zresztą powiem ci, dziwnie się boję,
Tej muzyki, bo ona usypia...

KRZYSZTOF Lub budzi. Dziwna jest ta jesień, nieprawda?

PIOTR Ja też czuję coś, jak krew się snuje
W każdej gałęzi i jak krew coś we mnie
Uderza niepokojem, i coraz jest ciemniej i czekająco.

KRZYSZTOF Tak, wiem, ty czekasz,
Przebudzenia - jak mówisz - zwierzęcia - człowieka.

PIOTR A tak, któryby stanął ~~in~~ sam coś zaśpiewał,
A nie szukającego pieśni w byle drzewach,
A nie ramiona w rzekach czującego
I mającego wszystko w świecie, prócz jednego.

KRZYSZTOF Tym jednym jest siła?

PIOTR Siła tym jest właśnie.

KRZYSZTOF Może siła słabości.
Siła ludzka, to czuje, ten i ten jej szuka,
Któremu mocnym być jest taka sztuka,
Że głosić musi chyba niszczzenie i klęski
By zaspokoić jeden lęk swój, lęk niemiecki.
Przed słabością, gdy serce przeżarła mu całe,
Wtedy mówi, że mocny i wielki, choć mały,
I tak ze strachu, nawet i zabić też można,
Jeśli strach od prawa większy.

PIOTR Cóż, my się mijamy w przekonaniach, ty może nawet
byś nie poszedł, by nie zabijać braci...
Wojna, nareszcie się skończyła!

KRZYSZTOF Co się skończyło?

PIOTR Serce mi nieomal nie rozsadziło głowy.

KRZYSZTOF Więc czy się skończyło, czy się zaczęło?

PIOTR Skończyło się tamto gnicie w ciszy, która uszy wykłuwa
A zacnie się, zacnie się nareszcie, życie, walka,
Marsz naprzód. Zresztą, trzeba bronić kraju, mój kochany.
Jeszcze się wahasz?

KRZYSZTOF Nie, nie waham się. Naturalnie, pójdę, tak trzeba, tak chcę
Ale czemu ty mówisz "a zresztą trzeba bronić kraju".
Zdaje się, że to dla ciebie problem poboczny, może nawet
Nie pretekst do walki, a tylko problem poboczny.
Walka sama w sobie nieuzasadniona.

PIOTR Ach, dajże już z tym spokój. Czy nie czujesz tego
szalonego pędu naprzód, tego przesunięcia całego okresu
czasu?

KRZYSZTOF Heroizm nie znaczy w mundurze przechodzić
Wśród trąb i wśród nieba trzasku.
Heroizm, to czasem pisanie na piasku krzyżyka w dzień
Urodzin.
Heroizm to czasem bez hełmu, a samo konanie,
Gdy konać potrafisz, to stanie za marsz i za życie,
Za ludzi co kłamią.
Żegnaj, wróćę.

MATKA
BARBARA Żegnaj.

PIOTR Żegnaj żołnierzyku.

KRZYSZTOF Drwiesz, a czymże to było, co w tobie gra jeszcze,
Czy to dla swojej sprawy jeśli sprawą tobie,
Musisz tylko w jakiś specjalny sposób walczyć,
Czy może ty nie sprawie, ale sobie służysz,
I swoim żądzom złym, a ciebie nuży praca taka powolna,
Gdzie trzeba w pokoju budować swoją sprawę, tak samo
Potrzebnie, jak zabijając...
Do widzenia... noc gwiazdami zaorana,
W piersiach naszych eksploduje pusty wieczór,
Zbyt jest ciężko żyć przetrzepiać w męską szorstkość.
Niebó w błocie zatopione pije ziemię
I zwichrzona granatowe szarpie drzewa,
To zbyt trudno nigdy szczęścia swego nie mieć,
I o szczęściu bohaterstwa tylko śpiewać.
Zbyt daleko są okopy krwią rozpięte
Myśl na drutach krwawi usta nieszczęśliwe
I bezradnie ciemne noce nawożują.
Zbyt jest trudno wrócić do was młodym. żywym, zbyt jest
Trudno... Łatwo zostać bohaterem... Jakie szczęście,
że nie można tego dożyć, kiedy pomnik ci wystawią
bohaterze, i morderca na nagrobkach kwiaty złoży.
Myślałaś, matko: "On uniesie, on nazwie, co bili,
Wytłumaczy,
Podźwignie, co upadło we mnie, kwiecie - mówiłaś -
Rozkwitaj ogniem znaczeń!".

Ojczy, na wojnie twardo. Mówiłeś, pragnąc za ziemię
cierpiąc: "Nie poznasz człowieczej pogardy, udźwigniesz
sławę ciężką".

I po cóż wiara taka dziecinie,
Po cóż dziedzictwo jak płomień dom?
Zanim dwadzieścia lat minie,
Umrze mu życie w złocieniach rąk.

A po cóż myśl taka jak sosna,
Za wysoko głowica, kiedy pieśń tną. A droga jakże
tak prosta, gdy serce niezdarne - proch.

Nie umiem, matko, nazwać, nazbyt boli, Nazbyt mocno
Śmierć uderza zewsząd. Miłość, matko - już nie wiem, czy
jest. Nozdrza rozdęte z daleka Boga wietrzą.
Miłość - cpż zrodzi - nienawiść, struny łez.

Tęta ulica wymarża obcymi ludźmi.
Kawki ciężko spadają na dachy drzew w umierającym śnie,
Matko! Dzień zmierzchający nas woła.
Barkami, powiek ciężko mocować się z jawą, dzień do sta-
wów. Do wspomnień jak w ciemne podwórza odchodzi.
Každy człowiek spotkaniem rozprasza wieczór,
Gdy w chłodzie ulic uwiędłych przechodzą oczy.
Matko, ludzie wybuchli lawą w ciszy naszych ulic,
Cisza rwie się z rąk jak ptak.
Do ust nie da się przytulić, boi się krwi słów.
Matko! Serca biją fiołkom w umarłych wąwozach,
Może ostatni powrót dzisiaj zdobądz,
Matko! To dzwon - to serce pęka tobą.

MATKA

Oddziałili cię syneczku od snów, co jak motyl drżą,
Haftowali ci syneczku smutne oczy rudą krwią.
Malowali krajobrazy w żółte ściegi pożóg,
Wyszywali wisielcami drzew płynące morze.
Wyuczili cię syneczku ziemi twej na pamięć,
Gdyś jej ścieżki powycinał żelaznymi łzami.

Odchowali cię w ciemności, odkarmili bochnem trwóg,
Przemierzyłeś po omacku najwystydliwsze z ludzkich dróg.
I wyszedłeś jasny synku z czarną bronią w noc,
I poczułeś jak się jarzy w dźwięku minut - zło.
Zanim padłeś, jeszcze ziemię przeżegnałeś ręką.
Czy to była kula synku, czy to serce pękło?

ALTY I BASY Górą białe konie przeszły,

Trop dymiący w kłębach stanął,
W gwiazdach płonąc cicho trzeszczy wigilijne siano.
Spoza gór czy sponad ziemi aniło biały? Kruchy mróz?
Starczy w niebo nachyleni? Aniż biały szopkę niósł.

Zamknąć tak - to ironicznie - w daszek
Gwiazdom pobielany.
Płomień wieków i człowieka w tekturowe cztery ściany.
Zamknąć tak - to z odległości - w dwie figurki -
Czarną, białą, rozdeptanych epok kości
I spalone żądzą ciało.

W naprężone kusze burz aniż biały - szopkę niósł.

A figurki w męce gasnąc coraz słabły, zanikały
W napowietrzną gwiazdy jasność,
Tekturowo - popielają.

Śmiał się aniż półuśmiechem z ich uporu,
A nie grzechu. że tak jedni - choć ich stu.

Aniż biały szopkę niósł.

Aż na grudzie stopą lekką stanął niby mgłą i skałą
I koślawe, głodem ścięte ujrzał w grudę wbite - ciało,
Żebere czarnych, łuki spięte, poskręcene rydle rąk,
Brzuch jak bęben życia - wzdęty,
Brzuch zsiniały, brzuch jak tłok, i zawrócił.
W nieba plusk poczerniała, szopkę niósł.

KRZYSZTOF

Piątek w południe. Czuję wzbierający jak burza apetyt - mimo zupełnej obfitości posiłków - i sennosc. Są to objawy destrukcyjnej działalności powietrza, choć tak dużo na nim nie przebywam, bo chodzenie a w dodatku po wietrze i roztopach jest męczące. Chodziłbym zresztą, tańczył czerlestona oraz grał na trąbie, żebym mógł to robić z wami, ale samemu...

Bo bezwzględnie nuży mnie każde towarzystwo nawet interesujące rozmowy /a przecież są tu bądź co bądź ~~interesujące-rozmowy~~ ludzie, którzy mają coś do powiedzenia/, a więc powtarzam, nurzy mnie i pragnę tylko towarzystwa waszego, mamy, Baśki i w końcu Jerzego. Ciągle ostatnio miałem wrażenie i mam je w dalszym ciągu, że jakos zupełnie niepotrzebnie odmykam gębę, tylko dla odbębnienia formalności, ale bez zewnętrznego przekonania. Zobaczymy co z tego wyniknie. Krzysztof.

Piątek wieczór. Przyjadę w środę pociągiem pośpiesznym i dlatego proszę, aby Baś przyszedł tak jak zwykle. Wyjeżdżam o drugiej 49, a więc o 3.49 będę w Warszawie. O ile Basieśko przyszedłabyś po mnie, to bardzo bym się cieszył. W razie jakbyśmy się wyminęli, to podjedź do mnie i nie rozpaczaj w razie jakbym się spóźnił, ale poczekaj chwilę, bo najpóźniej o 4.30 będę w domu. Cały dzień dzisiaj czuję się doskonale i ani śladu jak do teraz gwizdu czy świstu. Napisałem wobec tego 2 wiersze, zresztą nie mam zupełnie pojęcia o ich wartości. Ciekawe, czy Barbara wzięła się do Bekona, czy też lata do Dygusa i robi to co ja na ogół wzięwszy, to jest siedzi i gapi się gdzieś.

BARBARA

Stojąc przed lustrem ciszy Barbara z rękami u włosów
Nalewa w szklane ciało srebrne kropelki głosu.
I wtedy jak dzban - świstkiem zapełnia się i szkląca
Przejmuje w siebie gwiazdy i biały pył miesiąca.
Przez ciała drżący pryzmat w muzyce białych iskier
Lasice się prześlizną jak snu puszyste listki.
I myszy się strumień przewiedzie,
Płynąc lawiną gwarną.

Aż napełnione mlecznie, w sen się powoli zapadnie,
A czas melodyjnie osiadzie kaskadą blasku na dnie.
Więc ma Barbara srebrne ciało. W nim pręży się miękko
Biała łasica milczenia pod niewidzialną ręką.

KRZYSZTOF W każdej przemianie podobna kręgowi czasu,
Jak rok obracasz się stojąc i jeszcze stąd
Widzę cię na równinach, górach i grzywach lasu,
W które światło nalewasz dzbanem splecionych rąk.
I morzypodobna przenosisz odbicie wszystkich pogód,
Które płynęły i grały jak mosiężne kotły chmur.
Dłonią poruszysz - jest zima, uśmiechniesz się - to
/jesień.
Ciernie uczyni z głógów wianem miedzianych piór.
W jabłkach dojrzewasz i zielen wypełniasz żółtym
/sokiem.
Uchwyć powietrze dłonią - to jest ka d y krzew
I każdy ptak na modrzewiu
Albo muzyki obłokiem
I złotą struną drzew.
Ach, płoną drwa na kominach i sanie suną w puch,
Kot przeciągając się mruży, wzdyma się w giętki łuk.
Ty jesteś w rzece i w każdym ruchu obfity twój uśmiech.
Obudź się śniegiem, polaną, zmień się w danieli róg,
Pod wieczór będziesz ciałem i w moim ciele uśniesz,
A rano znów się obudzę, miną znużeni ludzie,
Znajdą na mojej piersi uśpiony biały głóg.

Jesteś o tyle spojrzeń ode mnie.
Jest mi o tyle twych spojrzeń samotniej.
Ciemniej opada każdy wieczór bez słów,
Trudniej słowa rzucone, kwiaty na drodze podnieść
Oto jest znów ulica niedzielna zamknięta w miejski kurz.
Obcy flet kroków, gdzie szopen płacze z okien.
Tak samo tak samo tak samo jak kiedyś
Niebo patrzy obłe jak smutek głębokie.
Dni ulatują w trwogę o ciebie,
Noc obca gwiazdami zarasta i bladą miejską trawą.

Wiatr wspomnienia - chmurcom oderwana gałąź.

A przecież te same gwiazdy co tam co tam kołyszają noc nad Warszawą.

Nic nie powróci. Oto czasy już zapomniane: tylko w lustrach
Zsiada się ciemność w moje własne odbicia - jakże zła i pusta.
O znam, na pamięć znam i nie chcę powtórzyć, naprzód znać nie mogę
Moich postaci. Tak umieram z pół, objawionych ustach Bogiem.
I teraz znów siedzimy kołem, i planet dudni deszcz o mury,
I ciężki wzrok jak sznur nad stołem, i stoją ciszy chmury.
I jeden z nas to jestem ja, którym pokochał. Świat mi rozkwitł
Jak wielki obłok, ogień w snach i tak jak drzewo jestem prosty.
A drugi z nas to jestem ja, którym nienawiść drżącą począł,
I nóż mi błyska - to nie żza z drętowych jak woda oczu.
A trzeci z nas to jestem ja, odbity w wypłakanych łzach,
I ból mój jest jak wielka ciemność.
Z czwarty ten, którego znam, który nauczę znów pokory
Te moje czasy nadaremne i serce moje bardzo chore
Na śmierć, która się łącznie we mnie.

Las nocą rośnie jak jezior poszum. Droga kołysze we mchu, we mchu.
Ciężkie kolumny mroku się wnoszą.

Otchłanie puste z ciemności płoszą krzyk zły wysoki jak ze snu.
A dołem potok ludzi i wózów i broni chrzęst we mgle, we mgle.
Spod stóp jak morze wydęte grozą nieujarzmiona piętrzy się ziemia
I głosy ciemne leżą w przestrzeniach jak to co czeka obce i złe.
Żołnierze smukli, twarzą jasne, a moce ciemne trą się i gniołą
Łądy się łamią, sypie się złoto i chyba pancierz ziemi, za ciasny
Pęka, rozsadza i grzmi i grzmi.

Twarzą jasne na widnokręgach armie jak cęgi gną się i kruszą
O mój chłopcy jakże nam święty odkupić jedną rozdartą duszą?
Kochać, to się wydaje tak mało. Ginać - to słabość tylko wyzwolić
Bo nie nadaża chłopięce ciało, a ciemność stoi i grzmi i grzmi.
Las nocą rośnie, otchłan otwiera usta ogromne chłodnie i ssie.
To tak jak dziecko kiedy umiera i tak jak ojciec, który żyć musi.
Przeszli przepadli dym tylko dusi i krzyk wysoki we mgle we mgle.

Gdy za powietrza zasłoną dłoń pocznie kształty fałdować
I czuje się wielkie ptaki rosnące za chmur kwiatami,
Zmierzch schodzi lekko. A ona świeci u okna głową

Jasną jak listek światła i śpiewa piosenkę ciszy.
Długą wijącą się wstęgą głos ciepły w powietrzu stygnie
Aż jego dosięgnie w zmroku i szept przy ustach usłyszysz
"Kochany" - szumi piosenka i głowę owija mu dzwoni
Jak włosów miękkich smuga, lilie z niej pachną tak mocno
Że on pochyliny nad śmiercią, zaciska palce na broni,
Wstaje i jeszcze czarny od pyłu bitwy - czuje
Że skrzypce w nim grają cicho, więc idzie ostrożnie, powoli
Jakby po nici światła przez morze szumiące w zmroku
I coraz bliższa jest miękkość podobna do białych obłoków.
Aż się dopełnia przestrzeń i czuję jej głosik miękki
Stojący w ciszy olbrzymiej na wyciągnięcie ręki.
"Kochany" - szumi piosenka, więc kiedy obejmą ramiona
Więcej niż objąć można kochając jedno ciało.
Dłoń wielka kształty fałduje za nieba czarną zasłoną
I kreśli na niej zwierzęta linią drżącą i białą.
A potem świt się rozlewa. Broń w kącie ostygła i czeka.
Pnie się wąż biały milczenia, przeciągły wydaje syk.
I wtedy budzą się płacząc, bo strzały pękają z daleka,
Bo śnili, że dziecko poczęli całe czerwone od krwi.

BARBARA

Jak wtedy jest nas wszędzie troje, ja i ty, ja i ty,
A za oknem wiatr uchodzi pękniętym obojem,
Narasta zmęczony krzyk.
Unoszą się drzewa i czarne ptaki,
O czyby biją liście czerwiejsze niż jesień.
Wydęte uciekają dni i obłoki spłoszone jak ryby
W ten nasz bolesny pierwszy wrzesień.
Nie odchodź, to motyle pluszowe tak dzwonią
O te czyby umarłe, o martwy wiatr.
Chodzi za oknem upiór zabitego konia i kaleki
O kulach nienawiści świat.
To powietrze wezbrane od trwogi uderza,
Przebac mi świat i życie i ten wiatr mi przebacz.
Lecą gwiazdy jaskółki prawdziwego niaba,
Rozsypują nam śmierć na pokoje,
Umierają chwile nieostrożnych lat,
Bo jak wtedy jest nas wszędzie troje,
Ja i ty, ja i ty, i wiatr.

KRZYSZTOF

Jesiennych liści twoich włosów zapach,
Brzęczy trwogi pęknięty zegar.
Od gwiazd wieje chłód, zagasł świecznik lata i mój żal
Czarnym psem co wieczór do rąk ci przybiega.
Czy umiesz zasnąć?
Płacz umarłej olchy długo wyje po nocy - kopuła echa.
Płyniemy, nie portów, nie ma dla nas Kolchid,
Wiesz: smutek - zaczajony patrol - tylko czeka.
Czy umiesz zasnąć? Śpij, przecież cicho.
Noc urasta deszczowa na szybach i wiatr ślepy
Jak ja przed domem przykłęka.
Kto nam ten czas wolny od trwogi wydarł? - maleńka.

ALTY I BASY

Niebo złote ci otworzę, w którym ciszy biała nieć
Jak ogromnych dźwięków orzech, który pęknie aby żyć
Zielonymi listeczkami, śpiewem jezior, zmierzchu granie
Aż ukaże jądro mleczne ptasi świt.

Ziemię twardą ci przemienię w mleczów miękkich płynny lot,
Wyprowadzę w rzeczy cienie, które prężą się jak kot,
Futrem iskrząc zwiną wszystko w barwy burz,
W serduszkach listków, w deszczów siwy splot.

Jeno wyjmij mi z tych oczu szkło bolesne - obraz dni,
Które czaszki białe toczy przez płonące łąki krwi.
Jeno odmień czas kalekai, zakryj groby płaszczem rzeki,
Zetrzyj z włosów pył bitewny, tych lat gniewnych czarny pył

KRZYSZTOF

Arkebuzy dymiące jeszcze widzę,
Jakby to wczoraj u głowic lont spłonął
I kanonier jeszcze rękę trzymał,
Gdzie dziś wyrasta liść zielony.
W błękicie powietrza jeszcze te miejsca puste,
Gdzie brak dłoni i rapierów śpiewu,
Gdzie teraz dzbany wrzące jak usta,
Pełne, kipiące od gniewu.
Ach, pułki kolorowe, kity u czaka,
Pożegnania wiotkie jak motyl świtu
I rzęs trzepot, śpiew ptaka,
Pożegnalnego ptaka w ogrodzie.

Nie to, nie marzyć, bo marzyć krew,
 To krew ta sama spod kity czy hełmu.
 Czas tylko tak warczy jak lew
 Przeciągając obłoków wełną.
 Przebacz, matko, kochanko, przebacz, bo nie anioł, nie
 /anioł prowadzi.

Wy te same drżące u nieba,
 Wy te same róże sadzić jak głos
 Na grobach przyjdziecie i dżonią
 Odgarniecie wspomnienia i liście, jak włos
 Siwiejący na płytach płaskich.
 Idą, idą pochody, dokąd idą,
 Których prowadzi jak wygnańców łaski
 Ład krążący po niebie. A może
 niebo po ładzie dmące piaskiem
 Tak kształt ich zasypuje. Jak może
 giną w chleb pogrążone - tak oni
 z wolna spływają. Piach i ich pokrywa.

Jeszcze słyhać śpiew i rżenie koni.

Otóż i macie wszystko,
 Byłem jak lipy szelest,
 Na imię mi było Krzysztof...

BALLADA ZIMOWA

Chmura z miedzi uderza,
blaskiem bije w puklerzach,
jeśli puklerz - to oczy z ołowiu.

W lasach siwych od błysków
jak znużenia kołyską
wracał rycerz z puszystych łowów.

A od śniegu - wraz z koniem -
był jak chmura jabłoni
huraganem niesiona przez zamieć.

I tak w pędzie zastygli,
że na wróz jak na igłę
wbici - z wola zmieniali się w kamień.

Wtedy knieje srebrzyste
promień przeciął ze świstem,
droga przeszła w niebieską równinę.

Złote chleby i ręce
jak w dziecinnej piaseczce
niosła matka na witanie z synem.

Złote kosy i oczy,
co jak senność złej nocy
na gościniec wywiała dziewczyna.

Alc on jak po ścieżce
w pół po drodze, pół w wietrze -
- biały posąg - przetętnił i zginął.

Aż jak glaz w biegu - wisiał
i ptak szary mu przysiadł
na przegubie ledowatej ręki.

i pradawnych snów trzepot
w sercu zatił mi tu ślepe -
szary płomyk samotnej piosenki.

W pył rozsypał się szklany
zycarz. Buchnął tumanem.
W popiół zmienił się z koniem i cieniem,

tylko niebo szerniało
dalej w grozie sypało
gwiazdom - ciemność, a ludziom - kamienie.

listopad 41 r.